



**Wywiad z Panem Janem Zubą
– absolwentem
Zespołu Szkół Technicznych
w Kolbuszowej**

Dzień dobry.

W tym roku nasza szkoła obchodzi Jubileusz sześćdziesięciolecia powstania. Przygotowując się do uroczystości i zbieramy wszelkie informacje, pamiątki, zdjęcia, wspomnienia z dawnych lat. Rozmowy z absolwentami czy pracownikami naszej szkoły są skarbnicą wiedzy, jak kiedyś było, jak wyglądała szkoła i co się zmieniło. Gościem tego wywiadu jest Pan Jan Zuba.

W jakich latach rozpoczął Pan edukację w naszej szkole?

Jan Zuba: Dzień dobry. Jestem absolwentem Zespołu Szkół Technicznych, ukończyłem Liceum Zawodowe (o profilu obróbka skrawaniem) w latach 1972–1976. W 2026 roku minie 50 lat od mojej matury. Ukończyłem Wydział Mechaniczny Politechniki Krakowskiej (specjalność konstruktorska „samochody i ciągniki”). Odebrałem roczną służbę wojskową w okresie stanu wojennego, od 2 września 1981 roku do ogłoszenia stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku.

W jakich latach rozpoczął Pan pracę nauczyciela i czy była to pierwsza pana praca?

Jan Zuba: Moją pierwszą pracą po studiach był krótki epizod w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Huty Stalowa Wola, w biurze konstrukcyjnym. Wojsko zniweczyło moje plany kariery inżynierskiej, a po powrocie z wojska stalowowolskie zakłady zaczęły upadać, więc doradzono mi, abym szukał pracy gdzie indziej. Tak trafiłem do szkoły i związałem się ze szkolnictwem zawodowym.

Pracę w Zespole Szkół Technicznych rozpocząłem we wrześniu 1982 roku jako zastępca kierownika warsztatów szkolnych. Warsztaty były samofinansującym się gospodarstwem pomocniczym, gdzie szkoliliśmy młodzież, jednocześnie produkując wyroby na sprzedaż, by pokryć wszystkie koszty. Zatrudnialiśmy 14 pracowników obsługi i 50 nauczycieli zawodu. Tygodniowo przez warsztaty przewijało się około tysiąca uczniów, pracujących na 350 stanowiskach. Produkty trafiały do firm z całej Polski, m.in.: WSK Rzeszów, WSK Mielec, Zakładów Metalowych w Radomiu, Starachowicach czy Gliwicach. Była to doskonała forma kształcenia zawodowego, ucząca odpowiedzialności za młodzież, mienie i finalny produkt. W szkole uczyłem również przedmiotów zawodowych, takich jak rysunek techniczny czy materiałoznawstwo.

W latach 90. wyjechałem za granicę, by obserwować technologie i organizację produkcji, co później wykorzystywałem w pracy w warsztatach. Przepracowałem w szkole łącznie 16 lat, do 1998 roku, i była to dla mnie jedna z najważniejszych dróg zawodowych.

Jak wyglądała szkoła i jacy byli uczniowie?

Jan Zuba: Szkoła wyglądała zupełnie inaczej niż dziś, co wynikało z tamtych czasów. Panowała w niej bardzo dobra atmosfera – serdeczna, pełna szacunku i zaangażowania. Nauka odbywała się na dwie zmiany, często do godziny 18:00. Komunikacja publiczna opierała się głównie na autobusach.

Budynek z końca lat 60. był na owe czasy bardzo nowoczesny i ładnie wykończony. Mielśmy świetlicę z instrumentami muzycznymi, gdzie uczniowie spędzali przerwy. Na dole była pracownia z obrabiarkami, gdzie prof. Franciszek Pawlina łączył teorię z praktyką.

Szkoła funkcjonowała w trudnych warunkach: nie było sieci wodociągowej (wodę dowożono do studni), centralne ogrzewanie było na węgiel (nieszczelna instalacja), brakowało ręczników. Mimo to, organizacja była dobra, a uczniowie uczyli się nie tylko zawodu, ale i życia. Dopiero w 1986 roku pojawiła się bieżąca woda.

Dziś szkoła jest docieplona, ma wymienioną stolarkę, nowe ogrzewanie, dostęp do nowoczesnych urządzeń dydaktycznych, multimediiów i Internetu. Zmiany technologiczne są bardzo szybkie. Pamiętam, jak w 1998 roku na studiach podyplomowych na Politechnice Warszawskiej przez dwie godziny próbowaliśmy nawiązać połączenie internetowe, aby pokazać „Damę z Łasiczką” – udało się ściągnąć tylko jedną trzecią obrazu. Dziś to nie do pomyślenia – postęp jest ogromny i nie ma kresu.

W latach 70. też mieliśmy marzenia, ale długo na nie czekaliśmy ze względu na brak dóbr, środków finansowych i możliwości szybkiej realizacji. Najważniejsze było marzenie o nauce, które było dostępne i bardzo tanie. Studia były bezpłatne, akademik kosztował 120 zł, wyżywienie 660 zł, a stypendium studenta początkującego 1200 zł – zostawało więc na kino czy bilet na pociąg do domu.

Wspominając moje lata w szkole średniej (1972-1976), byliśmy drugim rocznikiem liceum zawodowego, a starsi koledzy byli dla nas wzorem. Kadra nauczycielska była bardzo młoda, pełna entuzjazmu i pomysłów, a my czuliśmy się w szkole jak w domu. Bardzo mocną stroną był wzajemny szacunek nauczycieli do uczniów i uczniów do nauczycieli. Nauczyciele nie tylko uczyli, ale interesowali się naszymi problemami, udzielali rad i wskazówek na przyszłość – uczyliśmy się życia od nich, od starszych kolegów i w domu rodzinnym.

Były też apele szkolne, gdzie trzeba było tłumaczyć się z przewinień – największymi były wtedy wywrócenie kosza na korytarzu czy wysypanie śmieci. Zdarzały się też próby palenia papierosów, co było naganne.

Jakie zmiany nastąpiły w naszej szkole?

Jan Zuba: Jak już częściowo mówiłem, przede wszystkim zmieniła się baza dydaktyczna, kierunki kształcenia oraz kadra pedagogiczna. Nauczyciele, których wspominam, są już na emeryturach. Dziś nowe kierunki, technologie i możliwości dydaktyczne sprawiają, że nie ma znaku równości między tym, co było, a co jest teraz.

Jeśli chodzi o uczniów, są tacy jak my – my byliśmy odzwierciedleniem tamtej epoki, Wy obecnych czasów. Najważniejsze i niezmiennie są Wasze pragnienia, odczucia i marzenia. Marzenia są motywacją do działania i trzeba w nie wierzyć, bo jak doświadczyłem w Stanach, „nie da się” to tylko kwestia nastawienia – w Ameryce wszystko się da. Młodzież jest zdolna, twórcza i poszukująca – pod tym względem się nie zmieniła. Zmieniło się otoczenie, które wpływa na nasze działania i sposób myślenia. Dziś cele życiowe są bardziej dostępne i łatwiejsze do zrealizowania. A otoczenie ma wpływ na nasze działania. Na sposób myślenia też. Oczywiście nie w stu procentach, no bo mamy pewne, to co już mówiłem, mamy pewne marzenia, pragnienia, motywacje do tego, żeby w życiu coś osiągnąć, żeby życie nie przebiegało tak jałowo, tylko żebyśmy osiągali swoje cele. A dzisiaj jest bardzo wymagane zakładanie sobie celów życiowych, bo one są dostępne, one są do zrealizowania.

Jakie ma Pan wspomnienia z czasów szkolnych?

Jan Zuba: To te wspomnienia już wcześniej tutaj omawiałem, przeplatałem wszystkie. Pielęgnowujemy je na zjazdach klasowych. Nasza klasa spotyka się regularnie każdego roku na ognisku. Co 5 lat robimy zjazd klasowy. Zapraszamy nauczycieli. Wtedy jest msza święta. Idziemy na cmentarz, bo muszę to ze smutkiem stwierdzić, że z naszej klasy już 9 osób nie żyje. Kilka osób jest tutaj w Kolbuszowej na cmentarzu. Więc pamiętamy o nich i zaczynamy od złożenia kwiatów i zapalenia zniczy na i grobach. A potem mamy spotkanie w szkole, w klasie z wychowawczynią. Opowiadamy o sobie. Już teraz wszystko wiemy na wylot. Już się za dużo nie zmienia. Teraz już o wnukach zaczynamy opowiadać. I to jest takie właśnie dla nas niezwykle fascynujące, że po tylu latach my się sobą nie nudzimy. My czekamy na te spotkania. Wracamy zawsze podczas tych spotkań do czasów szkolnych. Kto się w kim podkochiwał, kto do kogo czuł jakiś drobny uraz, co już dawno zapomnieliśmy o tym, ale to się też wspomina. Przede wszystkim czas, jaki spędziliśmy tutaj, wywarł na naszym życiu najważniejsze piętno. To właśnie uczciwość, to szacunek dla drugiego człowieka, to nastawienie do świata i do ludzi bardzo pozytywne, to optymizm. Bardzo ważny w życiu jest optymizm. Pamiętajcie o tym. Nawet niepowodzenia nie są powodem do smutku. Ja ostatnio grałem w szachy z moim ośmioletnim wnuczkem i na moje nieszczęście dwa razy wygrałem z nim. A chciałem przegrać. Z tym, że on już nieźle gra w szachy i moje takie próby podłożenia się szybko wychwytuje. Mówię do wnuka: „wygrałem z tobą dwa razy, pewność jest ci smutno”. A on mówi, nie dziadziu. Wygrana jest ważna. Ale porażka jest jeszcze bardziej ważna, bo porażka uczy. A wygrana nie uczy. I co mnie zaskoczyło, że ośmioletnie dziecko tak dorośle podchodzi do porażki. Więc porażka nie jest nigdy porażką, którą należy traktować na całe życie, że my się do niczego nie nadajemy, broń Boże, absolutnie nie. Porażki są po to, żeby się czegoś nauczyć, żeby wyciągać właściwie wnioski z porażki.

Ja mam jeszcze pytanie? Ile miał pan uczniów, jak były duże klasy?

Jan Zuba: W klasie było nas 37 osób, trzy osoby po drodze. Jedna osoba wyjechała, dwie osoby zrezygnowały i ukończyliśmy szkołę w gronie 34 osób.

Dużo? Tak, były klasy bardzo liczne. Klasy były liczne, nie było klasy małych. Teraz też wracają klasy liczne, ale to są te klasy wielobranżowe.

Jakie przedmioty pan lubił najbardziej, a które sprawiały panu trudności?

Jan Zuba: Nie było takich przedmiotów, które by mi sprawiały trudności. Ja mam umysł ścisły, więc matematyka, fizyka. Bardzo chłonałem przedmioty techniczne. Rysunek zawodowy to był pierwszy taki przedmiot, który, no powiem tak, bardzo lubiłem, ale efekty przez pierwsze półrocze były takie minus, minus trzy, to była najlepsza ocena w ogóle w klasie. Ja też się do tego grona zaliczałem minus, minus trzy.

Ale po pierwszym semestrze, w drugim semestrze już była piątka i jak poszedłem na studia, pierwszy rysunek wykonałem podczas ćwiczeń rysunku technicznego, pani doktor Trzaska popatrzyła na ten rysunek, popatrzyła na mnie i zadała mi pytanie, kto mnie uczył rysunku technicznego? Był to perfekcyjnie wykonany rysunek. Więc nauczyciel, pan Duszkiewicz Stanisław Świętej Pamięci, (Romana Duszkiewicza ojciec), uczył nas bardzo dobrze rysunku, był bardzo wymagający, nie było tam pobłażania. W sali numer 34 obecnej, tam była pracownia rysunku technicznego, były pełne szafy różnych przedmiotów, które trzeba było odwzorować na papierze, w przekroju, w rzutach i to była bardzo dobra szkoła rysunku. Ale bardzo lubiłem również narzędzia skrawające, technologię budowy maszyn. Język niemiecki bardzo lubiłem, ale w ciągu dwóch lat zmieniło się czterech nauczycieli. Nie było nauczycieli języka niemieckiego, więc uczyły nas różne osoby, które pamiętały język niemiecki z rektoratów jeszcze ze studiów, natomiast nie miały wykształcenia językowego. Lubiłem bardzo język polski, lubiłem dużo czytać, lubiłem pisać wypracowania, lubiłem ustne wypowiedzi, więc to takie trochę nietypowe, bo jak umysł ścisły, to humanistyczne przedmioty to nie. Historię mieliśmy tylko w pierwszej klasie, więc też tej historii się za wiele nie nauczyłem, poza datami ważnymi historycznymi, które każdy zna, to niewiele. Natomiast teraz staram się nadrabiać, bo mnie zaczyna historia teraz wciągać.

Bardzo lubię książki Normana Davisa, który ma takie spojrzenie niepolskie na historię polską. To jest pisarz angielski, który żenił się z Polką, mówi po polsku, myśli po angielsku, ale spogląda na historię Polski w kontekście Europy przez pryzmat Polski. To jest niezwykle istotne, bo najczęściej pisarze niepolscy opisują historię polską w kontekście historii europejskiej, pokazując zawsze w gorli i chwale kraje zachodniej Europy. Natomiast Polska zawsze jest traktowana jako kraj, który, przede wszystkim, 123 lata Polski nie było. Więc ta historia, która jest na zachodzie, wykładana na uniwersytetach, ona troszeczkę inaczej przedstawia i odzwierciedla nasze dążenia do tego, żebyśmy byli krajem wolnym i niepodległym. Więc wszystkie przedmioty praktycznie lubiłem.

A Pana ulubiona lektura?

Jan Zuba: Ulubiona lektura, Quo Vadis, w ogóle Trylogia Sienkiewicza to była ulubiona lektura. Lubiłem Pana Tadeusza, lubiłem Nad Niemnem. Natomiast jeśli chodzi o Zofię Nałkowską, to tak nie do końca ta literatura mi leżała. Nie czułem jej.

Czy już w szkole interesował się Pan tematyką związaną z administracją lub życiem publicznym?

Jan Zuba: Nie, zupełnie nie. Nigdy nie myślałem, że będę pracował w administracji. To nie było moje dążenie. Ja zawsze chciałem być inżynierem i tak sobie wyobrażałem swoją karierę przy desce kreślarskiej. W tamtych czasach był stół, kulman (deska kreślarska) do kreślenia, ołówce najpierw w ołówku, potem w tuszu, a potem na papier ozalitowy, specjalne urządzenia do naświetlania papieru.

Tak to wtedy wyglądało. Życie się potoczyło trochę inaczej, bo ostatecznie 25 lat przepracowałem w administracji, 14 lat w szkolnictwie, do tego krótka praca w Hucie Stalowa Wola, służba wojskowa. Co zdecydowało o wyborze właśnie takiej ścieżki kariery? Ja myślę, że w tamtych czasach to nie było jeszcze takiego podejścia, jak dzisiaj planowanie kariery. Takie pojęcia dopiero się wykluyały, planowanie ścieżki kariery. Bardziej życie sprawiało, że podejmowaliśmy takie decyzje. I tutaj przypadek mojego przejścia do administracji.

Pracowałem 14 lat w Zespole Szkół Technicznych. 10 lat byłem zastępcą kierownika, odpowiadałem za produkcję, za zbytni, za zaopatrzenie i za szkolenie. Potem zostałem kierownikiem w trudnych czasach.

1994 rok, bardzo trudne czasy. Przemysł się rozsypał, kooperacja upadła i trzeba było myśleć, co dalej robić. A rachunki przychodziły bez litości, co tydzień do opłacenia. I wtedy skończyłem taki kurs zarządzania przedsiębiorczością, bo myśmy działali jak firma, na zasadzie działalności gospodarczej. I skończyłem taki kurs w podstawie ekonomii, w podstawie organizacji, czyli to, co służy dobremu zarządzaniu.

No i udało się. Najpierw stworzyliśmy kilka pomysłów na produkt. Potem wdrożyliśmy ten produkt. Uruchomiliśmy sprzedaż. Mieliśmy 50 sklepów na terenie Polski (Lubelskie, Radomskie, Świętokrzyskie, Śląsk, Małopolska).

I tam nasze produkty trafiały. Również uruchomiliśmy eksport. Produkowaliśmy stojaki na wino do Anglii, stojaki na kubeczki do Holandii, stojaki na papier toaletowy, suszarki do naczyń z drewna odpadowego, bukowe, z fabryki mebli ilościach po tysiąc sztuk każdego asortymentu miesięcznie. I to wszystko szło.

Produkowaliśmy na eksport na Ukrainę stoły i taborety kuchenne. A i jeszcze jedno, produkowaliśmy też blachę falistą na trójkąt i na trapez. Bo wówczas brakowało pokryć dachowych. Kupowaliśmy blachę w hucie Sędzimir w Krakowie, w Nowej Hucie i w Hucie Floriana w Sosnowcu. I tutaj falowanie. Prosty temat. Urządzenie do falowania zaprojektowałem jako konstruktor.

Przy pomocy Solbetu z zakładu mechanicznego wykonaliśmy wszystkie elementy. Dobrałem hydraulikę dostępną w Agromie, w Rzeszowie. I to działało.

Jakie były największe wyzwania, z którymi musiał się Pan zmierzyć w swojej szkolnej pracy?

Jan Zuba: No to właśnie to są te wyzwania, które miałem w 1994 roku, kiedy przejmowałem kierownictwo warsztatów. Puste magazyny. Zero pomysłów na to, co dalej.

No i jeszcze zadłużenie. To był kredyt do spłacenia. 200 tysięcy złotych.

I to się udało. Zaczęliśmy kupować nowe maszyny. Kupiliśmy samochód dostawczy, żeby ten produkt, który tu był wytwarzany, dostarczać na Śląsk.

Więc to były takie pierwsze sukcesy, które powodowały, że uwierzyliśmy, że można, że damy radę, że potrafimy. Zaczęliśmy remonty. To chyba zostało dostrzeżone, bo w 1998 roku po wyborach, kiedy startowałem na radnego, bez powodzenia, bo zabrakło mi ośmiu głosów, żeby zostać radnym. Ówczesny zastępca burmistrza, pan Zbigniew Chmielowiec, został po wyborach radnym i dostał propozycję objęcia fotela burmistrza.

Zaproponował mi pracę na stanowisku zastępcy. Długo się opierałem, bo nie miałem zupełnie wiedzy żadnej, żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o administrację. Akurat wyjeżdżałem wtedy do Niemiec, do Zagłębia Rury, na taką wizytę studyjną.

Bardzo dużo się uczyłem, doksztalałem na przeróżnych kursach ze środków unijnych, jeszcze przedakcesyjnych. Niemiecka Agencja Rozwoju Regionalnego organizowała te kursy i wtedy pojechaliśmy na 10 dni do Zagłębia Rury. Wizytowaliśmy miasta, które przeszły ogromne przemiany przemysłowe, bo Zagłębie Rury, to wiecie, co to jest Zagłębie Rury? To było Zagłębie Węgla i Stali.

I tam zlikwidowano wszystkie kopalnie, polikwidowano huty, było ogromne bezrobocie. I myśmy poznawali, w jaki sposób oni radzili sobie z rozwojem gospodarczym poprzez Centra Stworzenia Przedsiębiorczości, poprzez Inkubatory Przedsiębiorczości. I w kilku miastach, między innymi Frankfurt, Düsseldorf, Dortmund, Kassel, Fulda, Essen, to też nam bardzo dużo dało, jeśli chodzi o spojrzenie na problemy, z którymi w Polsce trzeba się będzie zmierzać, bo to lata 90. To był taki okres, kiedy stary porządek gospodarczy upadł, a nowy się dopiero wykluyał. I po powrocie z Niemiec spotkałem się z moim dyrektorem, panem Edwardem Mazurem i powiedziałem, że mam taką propozycję. Co pan dyrektor na to? Pan dyrektor powiedział tak: „słuchaj, tutaj przyszłości nie ma, bo szykuje się reforma szkolnictwa zawodowego, warsztaty szkolne zostaną zlikwidowane, w związku z tym, jak masz taką propozycję dalszego rozwoju, to idź”.

No i się podjąłem. I po 7 latach pracy na stanowisku zastępcy, gdzie odpowiadałem za fundusze zewnętrzne, przedakcesyjne i krajowe, za inwestycje, za planowanie inwestycji, po 7 latach pan burmistrz Zbigniew Chmielowiec został posłem, ja zostałem mianowany przez ówczesnego premiera, pana Belkę, pełniącym obowiązki burmistrza. 4 grudnia 2005 roku w wyborach uzupełniających miałem dwóch kontrkandydatów, mieszkańcy powierzyli mi losy naszej gminy w moje ręce. Wygrałem, miałem 71% głosów, a moi kontrkandydaci mieli łącznie 29%. No i 18 lat przepracowałem na stanowisku burmistrza. Miasto i gmina potrzebowały wielu inwestycji, otwierały się perspektywy pozyskiwania znaczących środków finansowych unijnych, więc pierwsze, co robiliśmy, to przygotowanie dokumentacji, żeby mieć bardzo dużo projektów, żeby można było realizować wiele inwestycji i to się przez te 18 lat udało. Miasto się bardzo zmieniło, to już jest zupełnie inne miasto.

Wy nie pamiętacie, jak wyglądała Kolbuszowa 20 lat temu, ale pamiętacie, jak wyglądał dworzec. Tak? Wiecie, że ja poświęciłem na to zadanie 15 lat?

Czemu aż tak długo? Dlatego, że to była infrastruktura PKP. PKP w 90 latach przeszło restrukturyzację, pojawiło się 50, ponad 50 spółek, każda spółka za co innego odpowiadała i nie było tak naprawdę z kim rozmawiać. Ja jeździłem do Krakowa, ja jeździłem też do Warszawy na okrągło, ale byłem nieustępliwy, byłem konsekwentny i powiedziałem w Krakowie, że oddacie to za darmo, bo ja się wstydzę za to, jak wygląda wasz dworzec. A mieszkańców to nie interesowało, czyje to jest, tylko ciągle było pytanie, kiedy to się zmieni. I w 2015 roku nastąpił przełom. Pojechałem do Warszawy, to była zmiana rządu, pojechałem do Warszawy, do Ministerstwa Infrastruktury, wziąłem zdjęcia, 40 zdjęć kolorowych, pokazałem, jak wygląda budynek, jak odpadają tynki, jak w środku świeci pustkami, jak rdza pokrywa ramy okienne.

Rozłożyłem to na takim długim stole i pytają mnie, a co pan oczekuje? Ja mówię, oczekuję, żebyście jak najszybciej to przekazali gminie, a my sobie z tym poradzimy. Wtedy już tworzył się program kolei aglomeracyjnej w Rzeszowie, więc mieliśmy już podpisane takie wstępne porozumienie z marszałkiem. Przystąpiliśmy do tego programu, byliśmy największym beneficjentem tego programu, większym od Rzeszowa.

Zgłosiliśmy dziewięć zadań do tego programu, bo to nie tylko budynek w Wrocławiu, ale parkingi, przystanki dodatkowe, drogi, bo po drugiej stronie ulica fabryczna, ta, która prowadzi do fabryki mebli, to była własność, ta działka to była własność kolei, to nie była nasza własność. Więc to się zaczęło tworzyć. Zleciliśmy dokumentację, program funkcjonalno-użytkowy budynku, szczerze mówiąc to nie bardzo było wiadomo jak się za to zabrać, ale od czego jest Internet, więc prześledziłem różne rozwiązania z różnych miast. Po opracowaniu dokumentacji ogłosiliśmy przetarg, dofinansowanie już było, przystąpiliśmy do robót i mamy teraz piękne centrum przesiadkowe, którego nam może pozazdrościć Mielec, Rzeszów, na inną skalę oczywiście, bo jesteśmy małym miastem, ale ja zawsze mówiłem, że Kolbuszowa swój rozwój gospodarczy zawdzięczała kolei, bo cały ten przemysł, który jest tam skupiony, on się rozpoczął tworzyć w momencie, kiedy pojawiło się połączenie kolejowe i dzisiaj widzimy, że połączenia kolejowe przeżywają swój rozkwit. Ja pamiętam czasy, lat 70, kiedy rano w pół do piątej wsiadało się pociąg, jechaliśmy do Warszawy, odwiedzaliśmy domy towarowe centrum, tam robiliśmy zakupy i o godzinie 22.30 byliśmy z powrotem w Kolbuszowej.

Były pociągi dalekobieżne, do Kołobrzegu, do Trzebiatowa, można było jechać nad morze pociągiem. Teraz powoli to wraca.

A wyzwania w administracji. Przede wszystkim rozpocząłem pracę jako osoba, która nie miała żadnego doświadczenia ani przygotowania do pracy w administracji. Więc pierwsze co, to solidna nauka. Zacząłem od statutu gminy, od regulaminu urzędu, od poznania struktury urzędu, kompetencji poszczególnych referatów i pracowników. No i trzeba było bardzo szybko uczyć się przepisów prawnych, ustaw i rozporządzeń, bo odpowiedzialność na tym polega, że wszystko co robimy, to musimy robić zgodnie z prawem. Potrzebowałem na to dwóch lat, żeby poczuć się już w pełni przygotowanym do samodzielności w zarządzaniu sprawami, za które odpowiadałem.

Co poradziłby Pan uczniom, którzy dziś uczą się w tej szkole?

Jan Zuba: No to tak, korzystać z młodości w sposób rozsądny, bo młodość ma swoje prawa, więc to jest czas nie tylko na naukę, na życiowe plany, ale także na korzystanie z tej młodości, czyli no cieszymy się życiem, prawda, ale korzystajmy z tego życia w sposób rozsądny, w sposób odpowiedzialny, bo na tym to polega, że w życiu musi towarzyszyć odpowiedzialność, czy to dotyczy pracy zawodowej, czy dotyczy naszego własnego życia, bo bez odpowiedzialnego podejścia, no to możemy sobie trochę swoje marzenia, powiem tak, zwichrować. Nie używam słowa przekreślić, bo nigdy nie wolno przekreślać niczego, bo nawet błędy i porażki, porażki to jest coś innego, ale błędy da się naprawić, umiejętność wyciągania wniosków. Ale przede wszystkim młodość ma swoje prawa i z tej młodości trzeba rozsądnie, umiejętnie korzystać, cieszyć się życiem i wolnością, ale wolnością w tym sensie, że nie jesteśmy jeszcze obciążeni pracą, nie jesteśmy obciążeni rodziną, nie mamy problemów zdrowotnych, poza drobnymi, że nas głowa czasem boli. To tyle.

Czy uważa Pan, że młodzi ludzie powinni interesować się sprawami lokalnej społeczności i polityką?

Jan Zuba: Uważam, że tak. Sprawami lokalnej społeczności tak, bo powinniśmy wszyscy włączać się w sprawy lokalne.

To co mnie cieszy to wysoka frekwencja w ostatnich wyborach prezydenckich, ja pomijam preferencje polityczne, bo każdy ma prawo do swoich preferencji, które się zmieniają, kształtują się, podchodzą do różnych bodźców, różnych czynników, różnej rzeczywistości, ale przede wszystkim nie możemy podchodzić do spraw lokalnych, a co mnie to obchodzi od tego są urzędnicy. Nie, to nie tak, to nie tędy droga, bo dzisiaj aktywność i tak zwana partycypacja, ja mówię tak zwana, bo teraz jest to pojęcie powszechnie stosowane, partycypacja społeczna, czyli udział społeczeństwa w procesie rozwoju, w procesie planowania rozwoju. To jest instytucjonalnie już na chwilę obecną wdrożone i oprowiane w odpowiednie, oprzyrządowanie prawne ustawy, rozporządzenia, ale przede wszystkim chodzi o to, żeby tą aktywność taką wśród społeczeństwa, niezależnie od przedziału wiekowego, żeby utrzymywać na bardzo wysokim poziomie.

Począwszy od okresu szkolnego i do już szkoły podstawowej, bo przecież młodzież ze szkół podstawowych angażuje się w różnego rodzaju akcje charytatywne, w różnego rodzaju zbiórki, pomoc dla dzieci chorych, pomoc dla osób starszych. To wszystko było, w naszych czasach to wszystko było, inaczej się to nazywało, nie było fundacji, się pomaga, nie było zbiórek, ale była pomoc taka tutaj lokalna, na miejscu zupełnie innej natury, jeśli chodzi o tą instytucjonalną stronę. Natomiast te postawy takie były i one są i to cieszy, że tu pod tym względem się nic nie zmieniło.

Młodzież chce pomagać, chce się włączać. Co sprawiało panu największą satysfakcję w pracy urzędnika? Powiem tak, miałem znakomity kontakt z moimi pracownikami. Uczyliśmy

się wszyscy, bo ciągle się trzeba uczyć, więc pojawiały się nowe programy, nowe możliwości, nowe przepisy, zmiany ustaw, szczególnie prawo zamówień publicznych, które się zmienia nieustająco, więc to wymagało od nas ciągłej gotowości do uczenia się, do wprowadzenia zmian, ale największa satysfakcja polegała na tym, że zdobywaliśmy coraz więcej środków finansowych zewnętrznych i mogliśmy coraz więcej realizować inwestycji, różnego rodzaju inwestycji, bo proszę zwrócić uwagę, miasto się zmieniło.

Miasto ma przybudowaną infrastrukturę. Wszystko co pod ziemią wymienione, nowe ulice, nowe chodniki, to trwało, to zajęło nam 10 lat, ale mieliśmy plan. I sukcesywnie ulica po ulicy, mieliśmy podzielone miasto na 10 takich zlewni i każdą zlewnię przygotowywaliśmy. W 2007 roku zrobiliśmy opracowanie dokumentacji dla całego miasta na przebudowę kanalizacji, bo była ogólnospławna, stara, niedrożna. Bywały takie sytuacje na Wojska Polskiego, że po ulewie w niedzielę, w poniedziałek rano dziura głęboka na 3,5 metra wielkości ciężarówki. To z tyłu, ze szkołą, podobnie było.

Więc to wymagało bardzo szybkich działań i nakładów kilkudziesięciu milionów, żeby to zmienić i to się udało. To jest jedna wielka satysfakcja dla nas wszystkich, dla mojego zespołu, bo ciężko pracowaliśmy, żeby to zrealizować.

To nie były łatwe projekty, to były trudne projekty, projekty centralne, więc często wyjazdy do Warszawy na szkolenia, ale także jak się pojawiał problem, którego się nie dało przez telefon załatwić, czy za pomocą maila, czy pisma. Siadaliśmy w auto, jechaliśmy do Warszawy o 5 rano, żeby jeszcze nie było wtedy „eski”, więc jechaliśmy przez ratę, to 5 godzin w jedną stronę. A z powrotem, jak to było w piątek, to 7 godzin, bo cała ta Warszawa przyjeżdża, która pracowała w Warszawie, to na weekend wracali do Radomia.

No więc straszne korki były. Po tym już wyciągnęliśmy z tego wnioski, że w piątek do Warszawy nie jeździmy. Każdy dzień, tylko nie piątek.

Jakie są pan zainteresowania? Może ma pan jakieś marzenia, którymi zechciałby się pan z nami podzielić?

Jan Zuba: Marzenia? Oczywiście, zawsze trzeba mieć marzenia i to nie znaczy, że jak się już jest emerytem, to się już nie ma żadnych marzeń. Marzenia są. Przede wszystkim marzeniem moim teraz jest, żeby mieć czas na podróż.

Na razie go nie ma, ale mam nadzieję, że zdrowie pozwoli, że przyjdzie ten czas. Natomiast przyjdzie taki moment, mam nadzieję, że będzie czas na podróż z żoną.

Jakie się ma konkretne? Europa. Europa. A może jeszcze Stany, ale tak już pojechać, żeby żonie pokazać te miejsca, gdzie mieszkalem, gdzie pracowałem. Byłem cztery razy, miałem zieloną kartę, stały pobyt.

A jednak wybrał pan Polskę?

Jan Zuba: No tak, bo musiałem podjąć decyzję, co robić, czy tam, czy tu. I w jakich to latach było? Pierwszy raz pojechałem w 1986 roku. Wróciłem w 1988. Tydzień przed

powrotem była loteria wizowa. Więc wypełniłem, zostawiłem, wróciłem do Polski. W 1991 roku dostaję list ze Stanów. Otwieram, a tam pisze, że wygrałem loterię, że zielona karta przysługuje całej rodzinie. Więc rozpoczęliśmy przygotowania do otrzymania zielonej karty. Mieliśmy wszyscy wyjechać. Gdybyśmy wyjechali, nie byłoby nas tutaj, gdyby nie jeden szczegół istotny. Mianowicie pani ambasador powiedziała tak, musicie państwo wyjechać do 20 listopada. A to było w sierpniu. Dzieci idą do szkoły. I co? W trakcie roku przesiadka, nowe środowisko, nowy kraj, nowy język. To niedobry pomysł.

I zadałem pytanie, czy możemy poczekać z wyjazdem do czerwca następnego roku, żeby mieć dwa miesiące na adaptację do nowych warunkach. Pani powiedziała, albo teraz, albo wcale. I żona zadecydowała, że w tej sytuacji to ona zostaje z dziećmi, a ja jadę.

No i pojechałem. I byłem w 1991 roku. W 1992 roku przyjechałem na komunię syna na dwa tygodnie. Poleciałem z powrotem. Wyrobiłem sobie paszport amerykański, który pozwalał przebywać poza granicami Stanów Zjednoczonymi. Dwa lata. A bo tak na zieloną kartę można było tylko 12 miesięcy. Ale niemile było się widzianym na lotnisku. Służby imigracyjne zwracają na to uwagę, w jakim czasie się przyjeżdżało.

Biały amerykański paszport już zupełnie inaczej traktował takich podróżników, więc zainwestowałem w ten paszport. I potem byłem co dwa lata w Polsce. Wróciłem, jak się urodziła moja córka Karolina. Podjęliśmy decyzję, że koniec z wyjazdami. Bo przy trójce dzieci nie może tak życie wyglądać. Nie zdajecie sobie z tego sprawy, jak się ogromnie tęskni będąc za granicą, za rodziną, za żoną, za dziećmi. Jak byłem tutaj, nie miałem spokoju w sercu, bo o odliczałem czas do ponownego wyjazdu do Stanów.

Co to za życie? Nie na tym ma polegać. I dlatego wtedy podjąłem decyzję, że koniec. Nie będę więcej wyjeżdżał. I wtedy zostałem w 1994 roku kierownikiem warsztatów. A potem w 1998 roku trafiłem do administracji. I tak życie zawodowe zakończyłem w wieku 67 lat. Napracowałem się trochę. Teraz już 68 skończone.

Ale to praca konserwuje, ja nie mam czasu na wypoczynek.

Ja wypoczywam czynnie. A jeszcze jedno wam powiem. To jest taka ciekawostka pewnie dla was. Skończyłem 40 lat. Byłem wtedy kierownikiem warsztatów. Nikt mi życzeń nie złożył. Wróciłem do domu ze spuszczoną głową. Było mi smutno, ale nie dlatego, że mi nikt życzeń nie złożył. Ale przyszedłem do domu. Usiadłem tak po obiedzie i tak sobie myślę.

No to co? To już po życiu. 40 lat. Przecież to, co najważniejsze to mam za sobą.

Co mi zostało? Co mi zostało? Ale po jednym dniu takiego smutku doszedłem do wniosku, że coś trzeba w życiu zmienić. Nowe wyzwania muszą być. Od czego zacząć? Wpadłem na pomysł, że będę zaczynał dzień od gimnastyki. Zestaw gimnastyczny numer 22 z wojska. Bo w wojsku mieliśmy ścieżkę zdrowia. Codziennie rano po pobudce wyskakiwaliśmy w stroju adekwatnym do temperatury.

Czyli jak było jeszcze zero to podkoszulka z krótkim rękawem, krótkie gacie i ćwiczenia pół godziny. A potem wracaliśmy, przyszlismy z pod zimną wodą, golenie i na śniadanie.

Krioterapia była regularna codziennie. I wtedy postanowiłem, że będę dzień zaczynał od gimnastyki. I tak już 28 lat. Polecam każdemu. To jest też tajemnica tego, że ja dobrze funkcjonuję. Energii mi nie brakuje. Polecam, warto. Mało tego, moja żona ćwiczy ze mną od kilku lat. Bo wcześniej jakoś tak nie była przekonana, że to jest potrzebne.

A teraz ćwicz też. Bardzo potrzebne. Ja w ogóle lubiłem bardzo ruch.

Tak, że ja byłem dzieckiem takim... ruchliwym. Tak, ruchliwym, bardzo. Moja mama zawsze to powtarzała, przeżyła prawie 94 lata.

I ona zawsze mówiła że, ruch to zdrowie. I ona nie mogła siedzieć w miejscu.

Jak skończyła 90 lat, no to tego ruchu miała coraz mniej. Ale ogródek u niej był najpiękniejszy. Czyściutko. Mnóstwo kwiatów. Ona w tym ogródku spędzała dużo czasu, ale też jeszcze w gospodarstwie pomagała. Najgorsza była zima. Ona czekała na śnieg. Bo jak był śnieg, to ona mogła odśnieżać. Tak, że ja po niej odziedziczyłem tę skłonność do tego, żeby być zawsze w ruchu. Ruch to zdrowie. Ale jest drugie powiedzenie. Żadne lekarstwo nie zastąpi ruchu. Ale ruch może zastąpić każde lekarstwo. Leczenie ruchem jest najskuteczniejsze. Z dwóch powodów. Po pierwsze, usprawnia krążenie. Dobre krążenie to jest dobre dotlenienie wszystkich komórek. Nie tylko szarych, ale wszystkich. Ruch, wysięk to są endorfiny, hormon szczęścia. Człowiek jest zadowolony z życia. W głowie się wszystko układa. Stare powiedzenie, w zdrowym ciele zdrowy duch.

Natomiast zadრęczanie się sprawami, na które nie mamy wpływu. Po co? Generalnie jest taka zasada w życiu. Jeżeli na coś nie mam wpływu, to po co się tym przejmować.

Przejmuję się tym, na co mam wpływ. Czyli nie przejmuję się, tylko podejmuję to wyzwanie i działam. Filozofia.

Wiecie co? Jak byłem w Stanach, chciałem wysłać dzieciom pierwszą paczkę. Co w pierwszej paczce wysłać? No wiadomo. Lalkę córce, która miała pięć lat, a synom samochód. Lalka Barbie taka, piękna fryzura, strój. Długie nogi. Kilka jeszcze kompletów stroju do tego, a syn dostał samochód policyjny. Kosztowało to trochę. No i co jeszcze w tej paczce było? Pomarańcze i banany, bo wtedy dzieci nie wiedziały w ogóle, jak to smakuje.

Banan to tylko z bajki, że banany są. Przecież w Polsce nie było bananów. No i jak wszedłem do agencji, agencja to były takie punkty, które przyjmowały paczki, przyjmowały zlecenia, tłumaczyły na język angielski. Generalnie ułatwiały życie Polakom. Tam był język polski, bo to Polacy prowadzili tę agencję. No i wchodzę i na wprost wejścia nad drzwiami, a ja byłem już cztery tygodnie w Ameryce, już tak potwornie tęskniłem.

Każdy samolot, który leciał nad Nowym Jorkiem, to było moje marzenie. Kiedy to będzie ten, w którym ja będę siedział? A dziesiątki tych samolotów, każdego nie oglądałem. No i tam czytam tak. Nie użalaj się nad sobą. Za swoje niepowodzenia nie obwiniaj innych. Jeżeli chcesz coś osiągnąć, to weź się w garść i pracuj.

Mądre słowa, bardzo proste. Postawiły mnie na nogi od razu. Przestałem się użalać nad sobą. Przecież nikt mi nie kazał tam jechać. Chciałem, to mam. I zawsze, kiedy jest ciężko, a bywa ciężko, każdemu, niezależnie od wieku, to tak warto wtedy powiedzieć nie użalaj się nad sobą, tylko działaj.

Co jest pana życiowym priorytetem? Może chciałby pan przekazać jakąś dobrą myśl, refleksję młodszemu pokoleniu naszej szkoły?

Jan Zuba: Już tych myśli wiele się tutaj pojawiło.

To tylko sięgnąć do tego, co już wcześniej powiedziałem. Ale podsumowując, no to właśnie to, wymagaj od siebie. Nie użalaj się nad sobą. Działaj. Jak słowa Jan Paweł II, który powiedział: „Wymagajcie od siebie, choćby inni od Was nie wymagali”. Musimy działać. I wyciągać wnioski z tego, jak się zmienia otoczenie. Ale przede wszystkim my musimy wiedzieć, co chcemy w życiu osiągnąć.

Nie zawsze się wszystko uda. To nie jest tak, że zaplanujemy jak biznesplan i 100% wyjdzie. Mnie uczono na różnych szkoleniach, że jeżeli tworzymy jakiś plan i z tego uda się zrealizować 30%, to już jest ogromny sukces.

Bo jeszcze się nikomu nie udało 100%. 50% to tylko jakieś wyjątki. Ale to teoria. Natomiast w życiu, w rzeczywistości, to powiem tak, że bardzo ważna jest umiejętność planowania. Bo jak się planuje rzeczy nieosiągalne, to potem jest katastrofa. Chciałem mieć Złote Góry, a wyszło to, co wyszło. Planowanie jest potrzebne. Trochę takich marzeń na dzień dzisiejszy nierealnych też potrzeba. Ale to na dzień dzisiejszy, bo to, co dzisiaj się wydaje nierealne, to za chwilę się okaże całkiem w zasięgu ręki.

W szkole przede wszystkim budujecie fundamenty pod przyszłość.

Dziękuję bardzo.

Wywiad przeprowadziły: Gabriela Błat, Zuzanna Kasiewicz, Wiktoria Wilk i Julia Serafin-ucennice i przedstawicielki Samorządu Uczniowskiego

